Nr. 328. We Lwowie Poniedziałek dnia 26 Listopada 1894. Rok XXVII.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 sr. gr. — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji ???.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8 rano.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmują we Lwowie jedynie i wyłącznie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego", Plac Marjacki l. 6 i 7 w domu pana Kiselki.
We Wiedniu: pp. Haasenstein et Vogler, (Otto Maass), M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik, Rudolf Mosse i J. Denneberg; w Berlinie, Frankfurcie, Kolonji, Haasenstein et Vogler i G. L. Daubo; w Hamburgu: Karoly et Liebmann; w Paryżu: C. Adam 52 rue du Four.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit.)
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po kronice za jeden wiersz 50 ct.
Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 ct. od wiersza.
Drobne ogłoszenia 1 ½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

W setną rocznicę...

Lwów 25. listopada.

Smutne bardzo wynieśliśmy wrażenie z zebrania piątkowego w sali ratuszowej, które zastanowić się miało nad sposobem obchodzenia setnej rocznicy rozbioru Polski. Rzecz to zanadto ważna i poważna, ażeby ją wolno było pominąć milczeniem — zbyt bowiem często w ostatnich czasach się zdarza, iż zebranie, które nie ma prawa o czemkolwiek stanowić, lub do jakiejkolwiek akcji przystępować, przywłaszcza sobie samowolnie powagę jakiegoś areopagu, powołanego do dyktowania społeczeństwu przepisów i praw, do orzekania o czyimś patrjotyzmie, ba nawet — jak tego byliśmy niestety świadkami — do piętnowania mianem zdrajców i Targowiczan tych, którzy ośmielają się być innego, aniżeli ta garstka samozwańczych dyktatorów, przekonania.

Tak było właśnie na zebraniu, zwołanem w ubiegły piątek przez komitet obywatelski do sali ratuszowej. Osoby, pozbawione politycznego doświadczenia, a kierujące się tylko uczuciem — szlachetna bezprzecznie i patrjotyczna, ale roznamiętnieniu unosić się dająca młodzież i niektóre egzaltowane kobiety nietylko usiłowały narzucić swoje zdanie całemu społeczeństwu, ale nadto okazywały niedwuznacznie lekceważenie i oburzenie swe każdemu, choćby najpoważniejszemu i najzasłużeńszemu człowiekowi, który się ważył być odmiennego od nich zapatrywania. Odezwał się nawet głos, że wypadkowe to i luźne zgromadzenie jest właściwym Sejmem polskim (*sic!*) i że naród takiego zgromadzenia słuchać powinien w imieniu karności. Jeszcze o jeden krok dalej, a doczekamy się tego, że ludzie, którzy niczego nie zdziałali i zdziałać nie mogli, będą piętnować mianem zdrajców ojczyzny — doświadczonych i zasłużonych patrjotów, jeśli ci nie poddadzą się ich głosowi. To zaiste najgorszy obchód setnej rocznicy trzeciego rozbioru, bo to odnowienie tradycji niesforności, warcholstwa i niewieściej polityki czczych demonstracyj, które tyle niezliczonych klęsk na biedny nasz naród sprowadziły...

Ludzie rozumni nie ustąpią już dziś przed samozwańczemi, a w gruncie rzeczy śmiesznemi dyktaturami — i owszem postanowili oni oddawna pracować nad podźwignieniem narodu i w pracy tej nie ustaną bez względu na jakiekolwiek krzyki, nie świadczące nawet o opinji poważniejszego w społeczeństwie koła.

Wracając do uchwały rzeczonego zgromadzenia, wypowiadamy to śmiało i zaznaczamy z naciskiem, że obwoływanie żałoby narodowej w jakiejkolwiek formie, uważaliśmy zawsze za czczą, niepotrzebną i szkodliwą demonstrację, a zdanie zgromadzenia pań i młodzieży (boć chyba takiem tylko było ono przy powzięciu uchwały przed godziną 12. w nocy, gdy dwie trzecie poważniejszych uczestników opuściło już salę) żadną miarą na to nasze przekonanie wpłynąć nie może. Nie sądzimy nawet, iżby się należało jakąkolwiek wagę przypisywać uchwałom zgromadzenia o przypadkowej, a może nawet sztucznie zbudowanej większości. Co czynić wypada z powodu zbliżającej się setnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski — o tem tylko stanowić może i stanowić musi inne zgoła zgromadzenie.

Pod tym względem nie ma dwóch zdań, że społeczeństwo nasze winno w roku 1895 jakimś poważnym, przez całe społeczeństwo podjętym, a dodatnim czynem okazać swą żywotność narodową, a uświęcając rzetelną i użyteczną pracą rocznicę zagłady dawnego państwa polskiego, złożyć w obliczu świata całego dowód, że wraz z państwem naród nie zginął, że owszem, silniejszy, niż przed stu laty, z pełną otuchą dąży do lepszej przyszłości.

Dla powzięcia takiej inicjatywy, dla przeprowadzenia takiego, bardziej godności narodu naszego odpowiadającego obchodu, trzeba, ażeby zebrało się istotnie poważne i do stanowienia o rzeczach ważnych powołane koło.

Że tak się stanie — nie wątpimy.

„Wilenskij Wiestnik" o „kraju zachodnim" pod rządami cara Aleksandra III.

I.

„Cała Rosja pogrążoną jest w głębokim żalu, opłakując przedwczesny zgon ubóstwianego monarchy swego, cara Aleksandra III., którego panowanie stanowić będzie jedną z najjaśniejszych kart w historji Rosji."

Oto słowa, jakie wypisał na czele swych artykułów o „kraju zachodnim w okresie 1881 do 1894 r. *Wilenskij Wiestnik.* Nie streszczalibyśmy tych artykułów, gdyby nie ta okoliczność, że organ p. Orżewskiego wylicza wszystkie ukazy i rozporządzenia zmarłego cara, wydane w tym celu, aby Polaków usunąć zupełnie z Litwy, Wołynia, Podola, odebrać im tam grunt pod nogami, a po drugie, że swoją stylizacją potępiają te artykuły właśnie ostatnie panowanie, zamiast je chwalić i pozwalają pojąć cały ten ciężar despotyzmu, jaki spadł na nieszczęśliwy... „kraj zachodni."

„Czasy cara Aleksandra III. — pisze *Wil. Wiestnik* — to czasy niezwykłego, dawno niebywałego podniesienia się idei narodowej. Po długich ciemnościach nastąpiły czasy świetlane, jaskrawo zabłysnęło słońce, i poczuwszy przybytek sił życiowych, poruszyło się rosyjskie mrowisko. Ze wszystkich stron powiał duch ożywczy narodowego samopoznania, radośnie zabiły serca rosyjskie, zobaczywszy na wysoko podjętym przez zmarłego cara swoim sztandarze hasło — Rosja dla Rosjan. Otrząsnąwszy się, obejrzawszy się dokoła i zobaczywszy, „czem byliśmy i czem się staliśmy", z ochotą zabraliśmy się do leczenia swoich ran, oddawszy się w całości naszej, zapisanej nam przez historję, sprawie rosyjskiej. Wśród ogólnego podniesienia się ducha, wobec niezwykłego ożywienia się państwowej i społecznej działalności, jedna za drugą zaczęły powstawać różne, długi czas spoczywające w pyle archiwów kwestje naszego wewnętrznego życia, których rozstrzygnięcie stało się państwową koniecznością.

W liczbie tych kwestyj jedno z pierwszych miejsc bez wątpienia zajmuje kwestja naszych kresów, to jest zupełne *objedinienje* wszystkich naszych, a w szczególności zachodnich kresów z jądrem państwa. Tylko wtedy państwo jest silnem, gdy stanowi ono jedną całość, a nie jest mozajkowem, jak np. Austro-Węgry. Za cenę nieprzeliczonych ofiar i strasznych wysiłków udało nam się połączyć w jedną całość wszystkie rozerwane losem części Rosji, utworzyć z nich wielkie rosyjskie państwo, nie skończonem jest jednakże jeszcze to wewnętrzne łączenie wszystkich części, czyli kresów z centrum i to *objedinienje* stanowiło w minionem panowaniu i powinno na przyszłość stanowić najgłówniejsze nasze zadanie, nasz ideał.

Naturalnie, w artykule dziennikarskim nie można szczegółowo wyliczyć tego wszystkiego, co zdziałano dla naszych kresów podczas minionego panowania. Ale nawet i krótkie wyliczenie główniejszych środków, wiodących do *objedinienja*, w kraju Zachodnim w okresie od 1881 do 1894 r., pokaże, ile uwagi zwracano na nasze kresy zachodnie, jak usilnie wpajano w ich życie odwieczne im przyrodzone zasady rosyjskiej narodowości i państwowości, i jak potężną była działalność państwa w tym kierunku. Właściwie mówiąc, polityka minionego panowania w kraju zachodnim nie przedstawiała w swej idei zasadniczej nic nowego: była ona tylko przedłużeniem tego, co się rozpoczęło w latach sześćdziesiątych i broniła zasad wygłoszonych przez niezapomnianych *diejatieli* tego okresu na naszej niwie z Murawiewem na czele.

Nie mówiąc już o tem, że podczas ostatniego panowania podjęto kwestje, o których przedtem nawet nie myślano — jak na przykład kwestja niemieckiej i w ogóle cudzoziemskiej kolonizacji gubernij zachodnich — polityka ostatniego panowania w kraju zachodnim wyróżniała się niebywałą dawniej energją i stanowczością, razem z któremi znajdowała dla siebie i łagodność w stosunku do żywiołów obcoplemiennych, (!?) do interesów, których rząd odnosił się z taką samą ojcowską troskliwością, z jakiej zawsze korzystała rdzenna ludność rosyjska.

W głębi wszystkich środków, stosowanych w kraju zachodnim, spoczywa prawda i sprawiedliwość (?), niedopuszczające do przewagi w kraju innych żywiołów, prócz rdzennie rosyjskiego. Dla tego wszystkie te środki stosowano w tym kierunku, aby osłabić sztucznie wytworzoną przewagę napływowych żywiołów, oswobodzić tuziemcze masy od moralnego ucisku, zdjąć różne zewnętrzne uwarstwowienia, gwałtem narzuconej miejscowej, rdzennej ludności przez cudzoziemcze (?) panowanie, utwierdzić w kraju ogólnorosyjskie zasady i zupełnie połączyć je z ogólnorosyjskiem centrum.

W tym samym czasie rząd szeroko roztaczał swoją troskliwość i w stosunku do obcoplemiennych żywiołów w kraju zachodnim; dążąc do podniesienia ekonomicznego dobrobytu ludności rząd nie robił żadnej różnicy (?) między Rosjanami i obcoplemieńcami, co się jak najdowodniej pokazało na otwarciu w kraju zachodnim filji banku włościańskiego; z usług jego jednakowo korzystają tak rosyjscy jak i litewscy włościanie, tak prawosławni, jak katolicy — i tak ci, jak i tamci zdążyli już skupić z pomocą banku dziesiątki tysięcy dziesięcin ziemi.

Można także wskazać i na rozporządzenie z dnia 3. maja 1882 roku, którem zabroniono żydom osiedlać się poza obrębem miast. Rozporządzenie to broni jednakowo interesów ludności rosyjskiej, jak i obcoplemiennej. Sioła i wsie kraju zachodniego w znacznej części uwolniły się od żydów, co się dobroczynnie odbiło tak na ekonomicznym dobrobycie, jak i na moralności ludu.

Korespondencje.

Belgrad 20. listopada.

(Gabinet Christicza. — Zabiegi radykałów o pojednanie z rządem i dworem. — Możliwy tych zabiegów rezultat. — Swobodne wybory? — Co one przyniosą?)

Ciekawiście może, czy długo utrzyma się gabinet Christicza? — Sądzę, iż dłużej od swych poprzedników — a jeśli tak będzie w istocie, zasługę przypisać winien on przedewszystkiem swej bezbarwności. Grono mężów, którzy skupili się dokoła Christicza, nie brali tak żywego udziału w akcji politycznej, by wnosić można, iż stworzą coś więcej nad zwykły gabinet urzędniczy.

Stronnictwo radykalne odetchnęło swobodniej. Wie ono, iż nie będzie ściganem, jeśli tylko samo zaburzeniami nie podrażni surowego i bezwzględnego w podobnych razach Christicza. Z praktyki w dziedzinie polityki wewnętrznej wynieśli przywódcy radykalni od czasu, gdy ich obalono, jedną przynajmniej naukę, — tę mianowicie, iż za pomocą skrajnych i gwałtownych żądań bynajmniej nie uzyskają powrotu do steru nawy rządowej. Oświadczenie, iż obóz radykalny zachowa się biernie i nie weźmie udziału w życiu politycznem, byle tylko w czystej formie wznowiono konstytucję z r. 1888, podkopało w znacznej mierze powagę tej partji. Pozornie niewinne, graniczy owo oświadczenie bądź co bądź z zuchwalstwem, żąda bowiem ni mniej, ni więcej, jeno, aby król ugiął się przed partją radykalną i sam niejako przyznał, że został przez nią pokonany. Uznają to dziś sami umiarkowańsi radykalni przywódcy i gotowi są także po za obrębem owej konstytucji z r. 1888 współdziałać w rządzie, a nawet pracować wspólnie z reprezentantami innych stronnictw nad obmyśleniem nowej konstytucji.

W całem w ogóle postępowaniu radykałów widoczną jest zmiana. Wobec gabinetu Christicza zaniechali oni gwałtownej taktyki i poddają wprawdzie działalność rządu krytyce, ale z pewną życzliwością, której po nich, prawdę mówiąc, trudno było spodziewać się. Liczą oni snać na to, że Christicz dołoży wszelkich starań, by doprowadzić do pewnego porozumienia pomiędzy radykałami, a dworem. Ubodło ich, że na obiad dworski, dany ku uczczeniu nowego gabinetu zaproszono tylko liberałów i postępowców, a zupełnie pominięto radykałów, ale tłumaczą sobie tem, że ich, radykałów, obowiązkiem istotnie było pierwszy krok uczynić dla przejednania sfer decydujących.

Obecnie spodziewają się, iż radykalni przedewszystkiem sprowokują coś, co da im sposobność do wystąpienia z manifestacją lojalności. Tym sposobem przełamanoby pierwsze lody.

Jeżeli taka manifestacja istotnie nastąpi, wówczas prawdopodobnie i sfery decydujące spuszczą nieco z tonu, dozwolą mianowicie, by przynajmniej członkowie wymienionego stronnictwa nieposzlakowani o antydynastyczne dążności zajęli stanowisko rządowe, a może i w samym rządzie otrzymali jaki kącik. Król jednak trwa niezłomnie przy swem postanowieniu, by nigdy już nie próbowano oddawać kraju pod rządy wyłącznie jednej partji, mniejsza o to: radykalnej, czy postępowej, czy liberalnej. Król w ciągu niedługiej swej, ale — przyznać trzeba — wcale wielostronnej praktyki przekonał się, że najlepiej będzie, jeśli rząd oprze się na systemie koalicyjnym, wówczas bowiem i dodatnia emulacja partyj i wzajemna ich kontrola przynieść może wiele dobrego, w każdym zaś razie nie przyniesie tylu szkód, ile wyrządzały dotąd Serbji rządy wyłącznie tego czy owego stronnictwa.

Ministerstwo, jak głoszą, zamierza na luty zwołać wybory do skupczyny. Mają one być dokonane pod hasłem swobodnego objawienia przekonania przez naród, niemniej jednak rząd postawi kandydatów, co ową swobodę w każdym razie do pewnego stopnia poddać musi w wątpliwość. Jeżeli bowiem rząd nie ma zamiaru popierać swych forytowanych, po co ich nominuje przed obliczem narodu na tę godność; jeśli zaś zechce ich poprzeć, wówczas naturalnie cała swoboda wyborcza okazać się może — czczym frazesem.

Wybory ludowe będą między innemi i z tego względu bardzo zajmujące, że mają służyć za próbę przedewszystkiem lojalności wobec dynastji.

Obrady skupczyny wyszłej z tych wyborów okażą, czy radykalne stronnictwo zmężniało pod obuchem ciosów i porażek, czy nabrało rozumu politycznego i jaką pójdzie nadal drogą: czy szlakiem ugodowym, czy też manowcami opozycji *quande même*, na których błąkało się już dość długo, ku szkodzie zarówna państwu jak własnej.

Z tego, co już przytoczyłem, możnaby wnosić, iż radykalnym spadła łuska z oczu, że poprzestaną na takich tylko żądaniach, które mogłyby być bez ujmy żadnego innego stronnictwa uwzględnione. W Serbji jednak wiatr nietylko dla radykałów zmienia się tak często, że byłoby wielką odwagą prorokować z całą stanowczością już dzisiaj, co stać się ma po lutym. △

Aron.

„Aronem" nazywają kwiat bardzo pospolity, hodowany w doniczkach w każdym niemal domu. Nazwa ta jest właściwie tylko wykoszlawieniem łacińskiego „*Arum*". Jeśli jeszcze nadmienię, iż najpopularniejsza odmiana arumu, czyli arona, zwie się u ogrodników *Calla aethiopica*, to nikt chyba nie uczyni mi zarzutu, jakobym do dzieła przystępował bez należytej znajomości przedmiotu.

Co prawda, zawdzięczam ją nie własnym studjom, jeno przyjacielowi. Romek miał zawsze formalną słabość do kwiatów. Przepowiadaliśmy mu ongi, iż zostanie starym kawalerem, z taką pedanterją oddawał się hodowli dziatwy Flory. W jego pokoju wszędzie gnieździły się kwiaty: na oknach, na szafie, na biurku. Najtroskliwsza matka nie dogląda tak dzieci, jak on chodził koło swych roślinek. Każdy nowy listek sprawiał mu niesłychaną radość, a pojawienie się pączka kwiatowego było wypadkiem dnia, ważniejszym od zdarzeń polityki europejskiej, krajowej — nawet miejskiej. Pamiętam, że raz przy jakichś wyborach, gdy każdy głos mógł przeważyć szalę i gdy liczono na Romka, jak na cztery tuzy — poczciwiec tak zadłubał się w swych kwiatach, że o przyrzeczeniu zapomniawszy, ściągnął na siebie zarzut odstępstwa i pogrzebania dobrej sprawy...

Jeden to tylko, lecz nie jedyny przykład z rzędu mnóstwa, jakie wyliczyćby można na dowód, że nawet tak niewinne zamiłowanie przykrościami trzeba okupywać. Romek jednak hardo stawił im czoło. Gdy mu wytykano przesadę, odwzajemniał się wyrazami politowania tym, co zrozumieć nie mogli jego „pasji".

Koniec końcem Romkowi nie wyrosło z doniczek ofiarnie hodowanych suche, mdłe ziele starokawalerstwa. Owszem — liczbę swych kwiatów pomnożył bardzo wcześnie o jeden kwiat — żywy, urokiem swym przyćmiewający wszystkie inne.

Ożeniwszy się, złagodniał w swym zapale ogrodniczym, nie przygasił go jednak do szczętu. W domu młodej pary kwiaty były otaczane należnym szacunkiem i uwielbieniem, straciły jeno stanowisko, górujące ponad wszystkiem innem, zepchnięte stamtąd ręką egoizmu. Wręcz odmienne przyczyny nie pozwoliły im odzyskać dawnych przywilejów i później. Po różanych upojeniach pierwszego roku pożycia, zaczęła rwać się cudowna tkanina szczęścia... Młodym małżonkom kazał los spojrzeć w oczy rzeczywistości, odmiennej od ich urojeń.

Spadły na cichy schron moich przyjaciół przykre doświadczenia. Marniały zwolna kwiaty w doniczkach; nie było komu o tych pieszczochach pamiętać w dniach smutku i cierpień. Młoda para posuwała się w przyszłość, jakby wśród burzy druzgocącej dokoła wszystko. Sprzysięgły się na nich klęski materjalne i bolesne przejścia moralne. Do trosk przyłączyły się choroby. Z najbliższej rodziny tracili jedno po drugiem, nawet dziecię, którem Bóg ich obdarzył — rozkoszne słodkie dziecię, odleciało jak ptaszę spłoszone, z tego nieszczęsnego, rzekłbyś, przeklętego gniazda.

Zdawało się znękanym, że nie przetrwają tyle ciosów. Bajka! Człowiek wytrzymalszym jest w podobnych razach od stali... Ich przeznaczeniem było przetrwać burzę; cichła zwolna, zwijać poczęła rozpostarty nad nimi płaszcz chmur, nie dobywając już nowych grotów ze swego sajdaka.

Ochłonąwszy, nie mogli poznać samych siebie. Przedwczesna starość zadawała kłam latom; w okresie życia, kiedy inni skradają się do czary uciech, dla nich była ona już próżną... Butne marzenia leżały przed nimi zdeptane; na ruinie sił ziewała głucha apatja. Zbyt gruntownie poznali życie ze stron jego najczarniejszych, by mogło ono ich jeszcze nęcić jakim urokiem.

Wtedy przypomnieli sobie kwiaty. Stały w doniczkach osowiałe, wysilone, jak oni. Wiele nawet zginęło — uschło, jak ich rojenia, niepowsilone ożywczą wilgocią. Te, które utrzymały się przy życiu, cud chyba ocalił.

Romek pewnej niedzieli odbył przegląd tych zabytków lepszej przeszłości. Poobcinał suche gałązki, — kwiatom, które się rozrosły podawał nowe doniczki, każdą doniczkę ustawił w należytem świetle — słowem, przypomniał sobie dawne lata.

Pomiędzy nawpół już martwemi, znalazł egzemplarz arona, ulubieńca żoninego. Biedny etjopczyk, wymagający dużo światła i dużo wilgoci, a pozbawiony prawie zupełnie jednego i drugiego, zbliżał się już do kresu dni swych. Liście jego w normalnym stanie podobne z konturów do serca, z barwy do szmaragdu, przytem rzeźko pnące się do góry — leżały teraz opuszczone, żółte, skarłowaciałe — istny obraz nędzy i upadku.

Romka rozdrażnił ten widok.

— Wyrzucę przeniewiercę — przemówił, zwracając się do żony. — Kwitnął, sam nie pomnę kiedy, a teraz i liście jeszcze potracił!

— Czy nie szkoda go? — nieśmiało wstawiła się zagadnięta.

Pamięć przypomniała jej, że ten aron był świadkiem najpiękniejszych chwil obojga. Gdy poraz pierwszy weszła pod dach mężowski, witał ją z okna obfitością dużych, soczystych liści, i jakby z serdecznym toastem wznosił ku niej biały lejek swego kwiatu.

— Daruj mu życie! — prosiła męża.

— Nie mogę patrzeć na jego charłactwo szkaradne — odparł. — Ale gdy bierzesz go w obronę (choć tego nie wart), odstępuję od pierwotnego zamiaru. Na ganek z nim! Niech tam skończy spokojnie, a mnie nie irytuje!

Tegoż dnia — było to jeszcze w lecie — aron z okna powędrował w kąt ganku. Znikł odtąd z oczu obojga swych państwa. Zapomnieli o nim zupełnie. Litościwszem było dla biedaka słońce: rzucało mu codzień rano i wieczorem garstkę słabych promieni; litościwszy był deszcz, co go od czasu do czasu, obsypywał gradem kropel czystych, a nawet rosa, co nocami gorączkę dziennego skwaru łagodziła. One to wydalonemu nędzarzowi użyczały posilającej strawy, nowe wlewając weń życie.

Raz po południu, gdy Romek wypoczywał na sofce, udając, że czyta gazetę, wpadła żona, zaaferowana, w drzwiach już wołając:

— Co za niespodzianka, co za niespodzianka!

— Cóż takiego? — spytał zaciekawiony.

Ale ona, nie odsłaniając tajemnicy, wyprowadziła go, choć się opierał, na ganek.

— Popatrz — rzekła, z ręką wyciągniętą w stronę zakątka — na który nikt nie zwracał uwagi.

Roman osłupiał ze zdumienia. W tym kącie stał aron — lecz nie ów zbiedzony, bezsilny, jakby agonją już tknięty nieszczęśliwiec. Pięć dużych liści, każdy o konturach serca, wystrzeliło z doniczki, ni to szmaragdowa fontana, nad nimi zaś wzniósł się duży, przedziwnej białości kielich ze złotą kiścią pośrodku.

Z ust Romka mimowoli wymknął się okrzyk:

— Zmartwychwstał!

I zanim jeszcze przebrzmiało to słowo pochyliły się ręce mówiącego k

Za chwilę aron zwolna, ostrożnie przeniesiony, spoczął w tem samem miejscu, skąd przed laty witał wchodzącą pod dach mężowski oblubienicę.

Na sofce obok okna, nie odwracając od niego oczu, usiedli małżonkowie. Ich ręce splotły się w niemym uścisku, a ich serca wystygłe uderzyły silniej. W tej chwili, zdało im się, że z zieleni liści aronowych biją powracające fale nadziei, a z białej jego czary spływa kropla po kropli słodycz ukojenia na serca zranione, na usta spalone goryczą, na dusze zwątpieniem oskorupione...

St. R.

KRONIKA.

Pamiętajmy o fundacji imienia Tadeusza Kościuszki.

Djarjusz lwowski.

Poniedziałek 26. listopada.

Teatr hr. Skarbka: Z powodu przygotowań do dramatu „Fedora" przedstawienia nie będzie.

Kalendarz. Poniedziałek (26.): Konrada m. Wschód słońca o godzinie 7. minut 29, zachód o godzinie 4. minut 5.

Nadzwyczajnym wynalazkiem jest kinetoskop Edisona, którym obecnie cieszą się Paryżanie. Pamiętają wszyscy tak zwane zootropy z przed lat niewielu, czyli przyrządy szybko przesuwające szereg kolejnych faz jednego ruchu człowieka, lub zwierzęcia, schwytanych przez fotografje błyskawiczne. Dla patrzącego przez odpowiednio umieszczoną szparkę, różne te najdziwaczniejsze pozycje łączyły się w jeden ruchomy obraz, dający zupełne złudzenie, że się patrzy na człowieka biegnącego, kota spadającego, konia biorącego przeszkodę itp. Kinetoskop jest tylko ulepszeniem tego pierwotnego przyrządu, ale jakiem ulepszeniem! Oto za pomocą maszynerji doprowadzono do tego, że można na przesuwającej się jak wstęga kliszy, zrobić 46 zdjęć fotograficznych na sekundę, czyli 2760 na minutę — W ten sposób fotografując np. scenę teatralną, można schwycić z największą dokładnością przebieg kolejnych ruchów i poz aktorów. Nader zmyślny przyrząd, przesuwający te obrazki, w czasie takim samym, jakiegoby te ruchy wymagały i oświetlenie obrazu elektryczne, dopełniają reszty. Jeżeli do tego zbliżymy fonograf, powtarzający równocześnie schwyconą na jego krążku deklamację osób grających tę scenę, widz nietylko ma przed oczami obraz akcji, ale słyszy, co mówią osoby działające. Słowem cała scena może być oddana wiernie z ruchem i deklamacją. W ten sposób za 100 lat będą następcy nasi mogli widzieć i słyszeć najdokładniej, jak grali za ich pradziadów żyjący wielcy aktorowie. Zamagazynowane w aparacie przedstawienie, będzie można wywoływać i powtarzać na każde zawołanie. Pokazywany w Paryżu na boulevard Poissonière kinetoskop, pozbawiony jeszcze jest tego akompaniamentu. Ale w laboratorjum swojem w Ameryce Edison już to zastosowanie fonografu wprowadził w życie. A gdy rozmiary klisz takich, w tysiące idących fotografji, z natury rzeczy nie mogą być wielkie, przeto dla powiększenia iluzji spróbował sztucznego powiększenia obrazów przez projekcję, aż do naturalnej wielkości przedmiotów. Wrażenie i złudzenie ma być nadzwyczajne. Jeżeli to jest zabawką, przyznać trzeba, że zabawka godna końca XIX. wieku. Jenjalny wynalazca fonografu niewyczerpany jest w swoich pomysłach.

Królowa Wiktorja. Jak z Londynu donoszą — otoczenie królowej jest zaniepokojone jej zdrowiem. Osłabienie starcze wzrasta. Królowa ma już chód utrudniony.

Wyprawa do bieguna. Pewna bogata Amerykanka organizuje własnemi funduszami wyprawę do bieguna północnego. Na czele wyprawy staną oficerowie amerykańscy. Kwestja bieguna północnego musi być rozwiązaną jeszcze przed rokiem 1900.

Aresztowanie policji. Z Rzymu donoszą, że dyrektor policji w Termini aresztował znaczną liczbę tajnych ajentów policyjnych i wysłał ich na wyspę Termiti. Korzystając ze swojego stanowiska, dopuszczali się wielu kradzieży z włamaniem.

Redakcja afrykańska. Karol Bottcher ogłosi we Wiedniu drukiem wrażenia swoje z podróży do Afryki. Między innemi opisuje on swoje odwiedziny w redakcji pewnego arabskiego dziennika w Tangerze. „Właśnie wraz z moim przewodnikiem stanąłem przed lokalem redakcyjnym — są słowa podróżnika. — Jakże tu powitać moich panów kolegów? pomyślałem sobie, spoglądając na redakcję, ekspedycję i drukarnię, składającą się z jednej miniaturowej prasy ręcznej — owe trzy potęgi, zjednoczone w jednem zabudowaniu pod dachem słomianym. Przedstawiono mnie naprzód „ekspedycji" uosobionej w tęgim, barczystym Arabie. Poprosił mnie, żebym usiadł. Ale gdzie? Zaproszenie jego wyglądało na ironję; siadać — tak, jak gdyby tam były krzesła. Ale że nie mogłem odmówić, więc siadam nota bene po arabsku, na ziemi... Wprawdzie nie umiałem wprawnie nóg ułożyć i nie usiadłem tak zgrabnie, jak siedziała „ekspedycja", ale w każdym razie siedziałem. Opodal na ziemi leżał w dużym turbanie, w białym burnusie... „redaktor naczelny". Przed nim pulpit niziutki, najwyżej na stopę nad ziemię się wznoszący. Naczelny redaktor fabrykował właśnie artykuł wstępny. Pisał po arabsku od lewej ku prawej stronie, na grubym, popielatym papierze chwilami to się lewą ręką w turban poskrobał, to znów po powietrzu szukał myśli, a potem dalej pióro skrzypiało po papierze, a oczy skrzyły się złośliwie, a nawet dziko. W artykule tym udzielał pan redaktor naczelny swoich rad któremuś z afrykańskich sułtanów, to znowu czynił uwagi dzikim plemionom, ba, zmywał głowę Anglikom, Rosjanom i t. d. Obok mnie, na ziemi, leżały całe masy kur i wszelkiego rodzaju drobiu i ptactwa. Zrazu dziwiłem się, że to wszystko tak spokojnie leżało, ale przekonałem się niebawem, iż odnóża miały powiązane. Te kury, gołąbie i t. d. — to główna kasa

dziennika, to zapłata za inseraty, umieszczone w gazecie. Pan redaktor naczelny pisze i pisze... Właśnie pan „ekspedycja" zwrócił mi uwagę na to, że w danej chwili polityka zagraniczna nie przedstawia interesu dla artykułu wstępnego i że redaktor wobec tego woli zajmować się kaszą Tangeru. Chciałem coś na to powiedzieć, gdy w tem wpada jakiś człowiek z tłustą kurą w ręku. Od razu wszczyna się rozprawa, podczas której w krzyku prześciągają się redakcja z ekspedycją i drukarnią. Idzie o to, czy obywatel za kurę ma gazetę otrzymywać przez dwa, czy też przez trzy tygodnie. Naczelny redaktor zadecydował: „Trzy tygodniowy abonament!" — i kura poszła między kury i gołębie".

Kanarki mówiące. Czy może mówić, a raczej gadać, maleńki, pierzaty przyjaciel człowieka, przywieziony lat temu 300 z wysp Kanaryjskich? Dr. Karol Russ, który świeżo wydał u Krentza w Magdeburgu książkę o kanarku, twierdzi, iż na 12 kanarków mówiących, a raczej mieszających do śpiewu kilkanaście wyrazów, najwyraźniej mówiącym był kanarek, należący do aktorki Pauli w Kassel. Ptaszyna wymawiała frazes tak wyraźnie, iż obecni, nie wtajemniczeni w rzeczywistość, sądzili, że to dziecię, ukryte gdzieś, mówi. Frazes ten brzmiał: „Widewidewitt — śpiewajże, ptaszku, śpiewaj — dlaczego nie śpiewasz, ptaszku — śpiewajże, śpiewaj Widewidewitt". To samo stwierdza dr. Wilhelm Lühder z Berlina o całym szeregu kanarków z r. 1868.

Zamsta studuncka. Pewien właściciel piwiarni w Getyndze, postanowił nie udzielać w dalszym ciągu kredytu studentom; oburzeni „studiosi" zemścili się na nim w ten sposób: Trzydziestu ich w przebraniu kelnerów i panien z bawaryj przejechało po ulicach miasta na ogromnej beczce, nad którą powiewał szyld z napisem: „Stacja pomp ssących". Konno jechało dwóch studentów z plakatami, na których widniały słowa: „Za gotówkę" i „System pomp ssących". Studenci rozrzucali też wśród publiczności kartki z napisami hektografowanemi: „Przyczynek do paragrafów komisji pomp ssących".

Męki redaktora. Dret Harte ogłasza niezmiernie ciekawą opowieść z tych czasów, gdy nieszczęśliwe losy zrządziły, iż był redaktorem. Wtedy to przedstawił mu się niejaki Will Wilkins, który następnie codziennie zjawiał się w redakcji i za każnym razem przynosił rękopis — to opowieści, to jakiegoś szkicu, to ciężko miłosnego romansu. „Wszystko to — opowi-da Bret Harte — uprzejmie przyjmowałem, lecz zaraz nazajutrz ze znaną punktualnością zwracałem autorowi. Pewnego dnia zjawił się znów, jak zwykle. „Mój panie — rzekł — jeżeli przypuszczasz, że jestem pańskim błaznem, to się bardzo mylisz." — „Co takiego?" — zapytałem zdumiony. — „Pan sądzisz, że ja nie wiem, iż nie czytasz wcale moich utworów? O, wiem ja o tem bardzo dobrze, ale dziś — tu zbliżył się do stołu, za którym siedziałem — dziś musisz je przeczytać, albo nie wart jestem nazywać się Willym." Przy tych słowach jedną ręką wyciągnął ku mnie rękopis, drugą zaś jednocześnie wydobył z kieszeni rewolwer. — „Tak — powiedział — teraz musisz pan czytać, albo..." — i zrobił ruch rewolwerem tak wymowny, że od razu obudziło się we mnie żywe zainteresowanie do utworów poetyckich Willy Wilkinsa. Zacząłem czytać i przeczytałem. — „A teraz — rzekł, zauważywszy, żem skończył, — czy będziesz pan to drukował?" — „Oczywiście nie" — odpowiedziałem. — „A jednak musisz pan wydrukować; jeżeli natychmiast nie dasz mi pan słowa honoru, że wydrukujesz, to z najzimniejszą krwią puszczę panu kulę w łeb." Ten argument przekonał mnie — i przyrzekłem. Ponieważ mam zwyczaj dotrzymywać słowa, więc i tym razem dotrzymałem. — „Aby czytelnicy nasi wiedzieli, jakie to śmiecie nadsyłane bywają nawet do takiego, jak nasze pismo, drukujemy następujący utwór", — po tym wstępie umieściłem utwór Wilkinsa. Jednocześnie na biurku, na widocznem miejscu położyłem dwa dobre rewolwery. Gazeta jeszcze była wilgotna, gdy wszedł Will Wilkins. Instynktownie chwyciłem za broń, lecz on się głośno roześmiał. — „Bądź pan przeklęty — powiedział — lecz nie chcę panu nic złego zrobić. Czy istotnie moje utwory są złe?" — „Okropne, nędzne", — odpowiedziałem z głębokiem przekonaniem. — „Tak, pan musisz się znać na tem — dodał. — Wiesz pan co, od tej chwili nie napiszę ani jednego wiersza, daję na to moją rękę." Z ochotą, serdecznie i z dumą uścisnąłem wyciągniętą ku mnie prawicę, gdyż pewny byłem, że uwolniłem ludzkość od jednego przynajmniej grafomana.

Raut Salomejek odbędzie się dziś, w salach kasyna miejskiego. Pani Helena Modrzejewska uświetni raut swoją obecnością i wypowie deklamację. Po wyczerpaniu programu muzycznego, rozpoczną się tańce. Cel poważny — gdyż dochód cały dla wdów i sierot pod opieką Towarzystwa im. św. Salomei — a przy tem i program, gdzie nazwisko pani Modrzejewskiej stanowi atrakcję tak wielką, a wreszcie okoliczność, że to ostatnia zabawa przed adwentem, niezawodnie zgromadzą tłumnie naszą publiczność. Bufet doskonały i muzyka złożą się na bardzo miły i urozmaicony wieczór. — Bilety można nabywać u pani prezydentowej Mochnackiej w ratuszu, jakoteż w niedzielę od godziny 10. rano w kasynie miejskiem, gdzie komitet urzęduje.

Kronika brukowa. Zbiegła ze służby, skradłszy swej chlebodawczyni wełnianą spodnicę i chustkę zimową, wartości 18 zł., służąca Marja Tyrko.

Na placu Strzeleckim skradł wczoraj jakiś chłopak łańcuch z wozu i uciekł z nim ku teatrowi, a następnie zniknął w gmachu teatru hr. Skarbka. Łańcuch znaleziono następnie na scenie skarbkowskiej.

Z zamkniętego strychu domu pod l. 10. przy ul. Głowackich, skradziono w nocy z 22. na 23. bm. 10 koszul męskich, 1 damską, znaczoną literami R. C. i 1 poszewkę, łącznej wartości 25 zł. Złodziej dostał się przy pomocy drabiny na dach, a stąd spuścił się na strych dymnikiem.

Nieostrożna jazda. Woźnica p. Karola S., jadąc wczoraj przed godz. 12 w południe przez plac Marjacki, potrącił Katarzynę Kicińską, która upadła, a koło wózka przeszło jej przez lewą nogę. Kicińska odniosła lekkie uszkodzenie.

Posady dla Polaków. W kopalniach hr. Laryssza w Karwinie na Szląsku wakują następujące posady:

1) Posada urzędnika dla ruchu kopalnianego, z roczną płacą 800 zł., a w miarę posiadanej praktyki górniczej 1000 do 1200 zł.

2) Miernika górniczego z płacą roczną 800 zł., a w miarę posiadanej praktyki, 1000 do 1200 zł.

3) Inżyniera dla maszyn z praktyką przy mechanicznych warstatach, lub przy maszynach górniczych, z płacą roczną 1200 zł.

4) Chemika z płacą roczną, w miarę posiadanej praktyki, w kwocie 600 do 1000 zł.

Do powyższych posad, oprócz wymienionych płac, należy pomieszkanie, opał, światło, nadto tantjema roczna, wynosząca od 200 do 500 zł., w razie braku mieszkania w naturze, wypłaca się odszkodowanie w stosunku 25 procent rocznej płacy.

Do otrzymania posad pod 1) i 2) wymagane jest ukończenie akademji górniczej, oraz praktyki kopalnianej, do 3) wymagane jest albo ukończenie akademji górniczej, lub też ukończenie wydziału mechaniki, do 4) posady jest potrzebne ukończenie wydziału chemicznego politechniki. Oprócz tego należy przedłożyć świadectwo zdrowia, oraz fotografję.

Podania należy wnosić do 15. grudnia b. r. do dyrekcji górniczej hr. Larysza w Krakowie.

Zaczadzenie. Zupełnie analogiczny wypadek, jak onegdaj we Lwowie, zdarzył się temi dniami w Warszawie. W jednem z mieszkań pod nr. 51 przy ul. Nowolipki napalono węglem kamiennym w piecu, nie posiadającym urządzenia hermetycznego. Trzy lokatorki staruszki: Fryderyka Szymańska, licząca 45 lat, Józefa Wiesiołowska, 80 letnia, i Marjanna Uchańska, 70-letnia, udały się na spoczynek, z postanowieniem niezamykania blachy. Tymczasem jedna z nich, obudziwszy się w nocy, zajrzała do pieca. Mniemając, iż węgle już się wypaliły, blachę zasunęła. Zrana znaleziono wszystkie trzy lokatorki bez zmysłów. Najstarsza z nich, Fryderyka Szymańska, pomimo energicznego ratunku, niebawem zmarła. Wiesiołowską i Uchańską, mocno chore, odwieziono do szpitala ewangelickiego.

Tajemnicze samobójstwo. W Warszawie w ogrodzie Saskim kilku przechodniów zauważyło onegdaj jakąś młodą kobietę, nieprzytomną, leżącą na ławce. Nieznajomą natychmiast odwieziono do szpitala Dzieciątka Jezus. Lekarze stwierdzili otrucie kwasem karbolowym. Pomimo energicznego ratunku, kobieta, nie odzyskawszy przytomności, zmarła. Denatka liczyła około 20 lat wieku i była przyzwoicie ubrana. W ubraniu samobójczyni nie znaleziono żadnego dowodu legitymacyjnego.

Testament Albani, zmarłej niedawno słynne śpiewaczki, został w tych dniach w Paryżu otwarty. Miasto Paryż znalazło w nim legat 500.000 franków na cele dobroczynne. W ogóle wszystkie zapisy testatorki na cele humanitarne i artystyczne przenoszą 2,000.000 franków.

W Tow. zawodowem i zapomogowem pomocników handlowych odbędzie się w niedzielę dnia 5 b. m. w własnym lokalu ulica Dominikańska l. 9, wieczorek muzykalno-deklamacyjny. Początek o godzinie 8 wieczorem.

Ze „Skały". Wieczornica towarzyska dla członków i ich rodzin odbędzie się w sali „Skały" w niedzielę 25. b. m. Początek o godz. 7. wieczorem.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W Teatrze hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek nie ma przedstawienia, z powodu przygotowań do dramatu „Fedora"; jutro we wtorek „Fedora", dramat w 4 aktach Wiktoryna Sardou. Dwudziesty pierwszy gościnny występ pani Heleny Modrzejewskiej; w środę na dochód funduszu emerytalnego dla wdów i sierót po artystach i literatach polskich, „Mazepa", tragedja w 5 aktach Juljusza Słowackiego. Dwudziesty drugi gościnny występ pani Heleny Modrzejewskiej. — Ostatni występ pani Modrzejewskiej odbędzie się w przyszłą sobotę.

„Wydawnictwa ludowego" tomik XI. i XII za listopad i grudzień zawiera powiastkę J. Hopcasa p. n. „Biedni ludzie". Autor, w formie przystępnego i zajmującego opowiadania, wykazuje, czem właściwie są dzisiejsze t. zw. „ciężkie czasy" i jakiemi sposobami możnaby poprawić dolę ogółu, zwłaszcza zaś ludu. Między innemi przedstawia p. Hopcas dobrodziejstwa oszczędności i ubezpieczeń, zalecając je ludowi jako jeden z najdzielniejszych środków przeciw nędzy. Jako dodatek do tej pożytecznej książeczki — która oby jak najszersze znalazła rozpowszechnienie — znajpujemy tabele asekuracyjne z objaśnieniami.

„Wydawnictwu ludowemu" należy się prawdziwe uznanie za znakomite usługi, jakie oddaje, rozprzestrzeniając pomiędzy ludem dziełka w rodzaju „Biednych ludzi".

Ostatnie wiadomości.

Do wiedeńskiego *Fremdenblattu* donoszą telegraficznie z Berlina pod datą 23. bm.: „Podając wiadomość ze Lwowa o powszechnej (?) żałobie narodowej polskiej, która ma być w przyszłym roku obchodzona, jako rodzaj żałoby wiekowej po trzecim rozbiorze Polski, pisze tutejszy *Tageblatt* na podstawie szczególnej informacji, że zasadnicza decyzja, co do obchodzenia rzeczonej żałoby, wtedy dopiero zapadnie, skoro wyklaruje się postawa nowego cara do Polaków, to znaczy, skoro będzie już rozstrzygnięte, czy Hurko pozostanie i nadal na stanowisku swojem w Warszawie. Całe to doniesienie wiedeńskiego pisma — zaczerpnięte z berlińskiego *Tageblattu* — jest dla nas kompletną zagadką.

Rada państwa

(Telegramy „Dziennika Polskiego").

Wiedeń 25. listopada. Jak już doniosłem, weszła reforma wyborcza w całkiem nowe stadjum. W poniedziałek wniesie rząd w tej sprawie enuncjację w izbie, poczem komisja dla reformy wyborczej niezwłocznie zabierze się do pracy. Był to jedyny sposób wydobycia się z zawikłanej sytuacji. Ggyby rząd przedstawił był projekt izb robotniczych, musiałby z góry liczyć się z opozycją Koła polskiego, gdyby zaś oparł się był w przedłożeniu na projekcie Rutowskiego, to napotkałby na opozycję Hohenwartha. Nie pozostawało tedy nic innego, jak obrać drogę rzeczywiście parlamentarną i uciec się do akcji komisyjnej. Zabagnienie lub umyślne odwleczenie sprawy są wykluczone i należy je napiętnować jako złośliwy wymysł, gdyż wszystkie partje, acz dążą do specjalnych drobnych koncesyj, szczerze pragną jak najrychlejszego załatwienia sprawy.

W Kole polskiem zda dziś Zaleski sprawę z dotychczasowego przebiegu rzeczy, z czego następnie wywiąże się debata nad reformą wyborczą. W istocie całe Koło zgadza się w zasadzie z wnioskiem przyjętym przez parlamentarną komisję i mężów zaufania. Wobec tego gotowe się w czasie debaty wyłonić rozmaite niemożliwe do zrealizowania wnioski.

Także Hohenwarth zapewnia, że bynajmniej nie myśli z przypisywanym mu bezwzględnym uporem bronić przeciwnego stanowiska, że przeciwnie gotów jest wejść w każdy kompromis, zgodny z interesami państwa. Taki kompromis został już całkiem na serjo (jak powiadają, ze strony namiestnika hr. Badeniego) zainaugurowany.

Projektują mianowicie utworzenie dwóch kuryj: jednej z bezpośredniem prawem wyborczem dla miast, drugiej zaś z pośredniem dla gmin wiejskich.

Wiedeń 25. listopada. (*Izba posłów*) doprowadziła wczoraj do końca debatę jeneralną nad ustawą o pijaństwie.

Zurkan uskarżał się na trudności stawiane na Bukowinie towarzystwom wstrzemięźliwości. Cytuje on też „proroka" Sajneczuka (?), który za to, iż nawoływał do wstrzemięźliwości, zamknięty został z inicjatywy rządu w zakładzie obłąkanych. Każdy kto ima się apostołowania wstrzemięźliwości, naraża się na to, iż go okrzyczą antisemitą, ba, anarchistą.

Wiedeń 25. listopada. Całkiem niespodzianie przyjdzie przecie ustawa karna na porządek dzienny, a mianowicie już w poniedziałek rozpocznie się nad nią specjalna debata.

Także komisja budżetowa odbędzie w poniedziałek pierwsze posiedzenie.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Wiedeń 25. lutego. W tutejszych kołach poselskich obiega pogłoska, że Wekerle stał się skutkiem koszutowskich demonstracyj wprost niemożliwym nawet bez względu na losy przedłożenia kościelnego.

Dla Austrji sprawa ta ma tem większe znaczenie, iż z Wekerlem wiążą się ściśle tak ważne sprawy, jak regulacja waluty, monopol spirytusowy i inne.

Wiedeń 25. listopada. Zmarł tu lekarz. dr. Ludwik Gembarzewski.

Buda-Peszt 25. listopada. Sytuacja jest w wysokim stopniu naprężoną. Pomimo zaprzeczeń ze strony pism liberalnych, dymisja gabinetu staje się coraz prawdopodobniejszą.

Przybył tu ban Khuen-Hedervary.

Berlin 25. listopada. Wedle *Köln. Ztg.* ma niebawem carski ukaz odebrać gubernatorom prawo do zsyłania „porządkiem administracyjnym".

Paryż 25. listopada. Minister wojny postanowił, by jenerałowie, ukwalifikowani do dowodzenia armją, kolejno obejmowali wprzód dowództwo nad oddziałami piechoty, kawalerji i artylerji.

Bukareszt 25. listopada. Gazeta urzędowa ogłasza pismo króla rumuńskiego do ministra-prezydenta, w którem wyraża radość z powodu sympatycznych manifestacyj, jakiemi królewską parę uczczono przy sposobności srebrnego wesela. Odwzajemniając się, król zamyśla kreować włościańską kasę wsparć i przeznacza na ten cel 20.000 franków.

Belgrad 25. listopada. Rząd zakazał urzyste *Requiem*, które chcieli urządzić tutejsi studenci.

Petersburg 25. listopada. Rosyjskie wojska nad granicą Korei znacznie wzmocniono.

Petersburg 25. listopada. Car przedsięwziął wczoraj pieszą przechadzkę po mieście i wstąpił między innemi do składu rękawiczek.

Publiczność osłupiała ze zdumienia na tak niezwykły widok.

Wydawca Józef Laskownicki. Odpowiedzialny za redakcję Adam Krajewski. Papier z fabryki czerlańskiej. Z Drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Franciszka Kattnera.